

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felician tłumaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Udało mi się dotrzeć do jego londyńskiego mieszkania i tu znalazłem list, który przed dwoma miesiącami pisał z Ameryki do swej kochanki zajmującej jego mieszkanie. A więc do Ameryki! Mam dobre przeczucia i one niech pana uspokoją, niech pana pocieszają.

* * *

Gdy Ferrars płynął do Ameryki. Jocellyn śledził Jasona Bradmardine, a Stuart zajmował się tragedją Artevelde, nie zapominając przytem i o kradzieży u Durandów.

Wiedząc od Kate Scaton, że Leonora przebywała w Fairlie, pomyślał, że tam przecież dowiedzieć się czegoś można. Szczególniej liczył na opiekuna Leonory, doktora Austina. Przebrał się skromnie, aby wyglądać na młodzieniaszka nieśmiałego i niedoświadczonego. W Fairlie był tylko jeden zajazd; w nim zakwaterował się skromny młodzieniaszek i wnet potem udał się w odwiedziny do doktora Austina.

— Przepraszam bardzo, że jestem natrętny, rzekł młodzieniaszek na wstępie. Nazywam się Austin; dowiedziałem się, że pan doktor ma to samo nazwisko. Ucieszyłem się bardzo, bo może natrafie na mojego stryja.

Doktorowi spodobał się skromny, nieśmiały młodzieniec i jego naiwność; przyjął go też życzliwie i cierpliwie słuchał.

— Czy pan doktor nie miał brata Jakóba? Bo mój ojciec miał imię Jakób.

— Nie, nie miałem wcale brata.

— A to szkoda. Cieszyłem się, że pan doktor jest moim stryjem. Ja panu doktorowi zaraz powiem, jak to było. Mój ojciec Jakób miał brata Henryka. Rodzice chcieli, żeby gospodarował na wsi, wraz z moim ojcem, ale on nie miał do tego zamiłowania, tylko pragnął uczyć się medycyny. Rodzice, a moi dziadkowie, nie chcieli na to zezwolić i gniewali się na niego bardzo, więc on uciekł z domu i został lekarzem i tak się gdzieś ukrył, że już nikt o nim nie słyszał. Mój ojciec umarł, gospodarstwo objął mój starszy brat i mnie połowę majątku spłacił w gotówce. Przyjechałem tu, żeby kupić sobie jaką farmę i gospodarować. Dowiedziałem się w zajazdzie, że tu jest dr. Austin. Pomyślałem sobie, że to pewno mój stryj i dlatego tu przyszedłem. Co za szkoda, że pan doktor nie jest moim stryjem.

Dr. Austin uśmieł się serdecznie z tej naiwnej prostoty młodzieniaszka i bawiła go ta historia.

— Chociaż nie jestem pańskim stryjem, miło mi pana powitać. Jeżeli osiedlisz się w pobliżu, proszę mnie odwiedzać i pamiętać o mnie, jak gdybym naprawdę był pańskim stryjem.

— Serdecznie dziękuję panu doktorowi, będę z tego korzystał, bo powiem szczerze, że i ja mam ogromną chęć uczenia się medycyny. Byłbym już dawniej to zaczął, ale mój ojciec sobie nie życzył. Być może, że jeżeli nie znajdę jakiego korzystnego kupna, to pojedę gdzieś na uniwersytet.

Dr. Austin nie miał na wsi miłego dla siebie towarzystwa, więc, powziawszy wielką dla chłopca sympatyę, zaprosił go do siebie.

— Wiesz co mój kochany imienniku? może ci się spodoba mój projekt? Zamiast mieszkać w zajazdzie, sprowadź się tu do mnie. Tu będziesz mógł przypatrywać się zajęciom lekarskim, skoro do medycyny masz taki pociąg, a to nic ci nie przeszkodzi w szukaniu kupna farmy. Będiesz miał sposobność zbadać się dokładnie i przekonać ostatecznie, czy się nie łudisz, czy twój pociąg do medycyny jest prawdziwy.

Oczywiście, że ta propozycja jakby z nieba spadła Stuartowi, więc też podziękował uprzejmie i w godzinę potem zajmował już piękny pokój w mieszkaniu doktora.

Tego samego dnia jeszcze wstąpił do zajazdu, żeby zabrać pozostawione tam rzeczy. Jakież było jego zdumienie, gdy zobaczył w restauracyi za stołem Bradmardina w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny. Zbliżył się do nich pod pozorem, że chce poprosić o gazetę leżącą na stole.

Przypatrzywszy się z bliska towarzyszowi Bradmardina, rzekł do niego w tym samym tonie prostej naiwności w jakim przemawiał do doktora.

— Czy mogę pana poprosić o przysługę? prze-

praszać bardzo, że pana niepokoję; mała przysługa. Nie mogę zliczyć się z gospodarzem, cyfry nasze się nie zgadzają, niech pan będzie łaskaw pomóż nam w tej sprawie.

Towarzysz Bradmardina wstał i wyszedł z nieśmiałym młodzieńcem. Gdy stanęli przed domem, szepnął Stuart:

— Co ty tu robisz Bob?

— To ty Neil? a to z ciebie gracz doskonały!

Już po raz trzeci tak się sprawiłeś, zem cię nie poznał. Ale cóż ty tu robisz?

— Jak się domyślasz zapewne, gonię za Bradmardinem.

— A ja za morderczynią Artevelde.

— Artevelde zamordowany? Opowiadajże wszystko.

Stuart opowiedział całą historję Jocellynowi, z wszelkimi szczegółami.

— Rana Artevelde jest tak niezwykła, że lekarze się nad nią zdumiewali; zadawa narzędziem tak cienkiem, a ostrem, jakiego chyba żaden morderca nigdzie i nigdy nie użył. Na skroni maleńki otworek i na nim kropla krwi.

— W ten sam sposób zamordowano Szwarca i jego siostrę — rzekł Jocellyn. — To szczególne, może to jeden i ten sam sprawca obu morderstw. Na kogo padło podejrzenie?

— Na kobietę — odpowiedział Stuart — i to na żonę Artevelde, chociaż ja w to bardzo wątpię. Powiem ci nawet szczerze, że przyjechałem tu, aby szukać raczej dowodów niewinności tej, którą posądzają, niż dowodów jej winy.

— A gdzież się podziała ta żona Artevelde? — pytał Jocellyn.

— Znikła tajemniczo i bez śladu, jak twoja Eliza Szware.

— Cóż zamierzasz uczynić?

— Działajmy teraz wspólnymi siłami — odpowiedział Stuart. — Zdaje mi się, że nasze sprawy łączą się w jedną. Przypuszczam, że Eliza Szware jest zarazem morderczynią Artevelde, więc wspólne działanie w ciągłym porozumieniu konieczne. Ja tutaj zostanę, ażeby czegoś dowiedzieć się od tego pocziwca, który mnie w gościnę zaprosił.

Jako opiekun Leonory przecież miał dość sposobności poznać jej charakter, a wszelkie wyjaśnienia co do jej charakteru będą dla mnie bardzo pożądane. Będę się starał dociec także, dlaczego matka Leonory ukrywała się na wsi i unikała miasta. Ty, mój drogi, wracaj do Chicago i miej tam na oku dom przytykający bezpośrednio do willi, w której zabito Artevelde. Bo to widzisz mój drogi mnie się zdaje, że w owym domu znajdziemy rozwiązanie zagadki. Ten dom łączy się bezpośrednio z willą, tak że może wraz z nią jedno tworzyć mieszkanie. Zaraz potem, gdy Artevelde willę dla siebie wynajął, wynajęła ów dom jakaś z pozoru poważnie wyglądająca dama, z zamiarem urządzenia tam gościnnych pokoi, czyli pensionatu. W dniu popełnienia morderstwa dom był wprawdzie jeszcze pusty, ale już w posiadaniu owej damy. Nasuwa mi się przypuszczenie, że może z tego domu właśnie wśliznął się do willi morderca Artevelde. Nabrałem tego podejrzenia, zobaczywszy raz przypadkowo naszego murzyna, jak z tamtąd wychodził. Murzynek odsiedział karę i teraz może szuka sobie nowego przytułku, a może w tym domu nścieliło się gniazdo, należące do twojej specjalności. Obejmijże straż nad tym domem, a ja będę tu pracować.

— Piękne rzeczy mi opowiedziałeś; dobry z ciebie chłopiec; pojedę zaraz do Chicago. Wzamian ja ci powiem coś ciekawszego. Słuchaj chłopcze: owa pani, co pisywała listy do Bradmardina, której znalazłeś, nazywała się Arnym i umarła przed dziećmi mieszkającą. Dzieckiem, które jej wydrzeć chcieli, jest Leonora Arnym, Bradmardine zaś szuka jej również jak i ty i po to tu przybył, ale oczywiście szuka jej z innych zupełnie powodów, niż ty mój chłopcze.

XIII.

Pierwszy ślad.

Wróciwszy do Chicago poszedł Jocellyn do owego domu, nad którym miał straż zaciągnąć. Na bramie widniał napis: „Pension Rogers“. Zadzwo- nił. Drzwi otworzyła dama w starszym wieku, ubrana z przesadną elegancją.

— Chciałbym poprosić o wynajęcie mi pokoju — rzekł uprzejmie Jocellyn.

— Przyjmuję tylko znajomych, lub takie osoby, które mi ktoś przedstawi lub poleci — odpowiedziała chłodno.

— O! jeżeli tego potrzeba, to mogę pani służyć poleceniami najznakomitszych osób.

— W tej chwili nawet i toby się nie na wiele przydało, bo niema miejsca. Proszę jutro się zgłosić; być może, iż się kto wyprowadzi, bo niektórzy goście zniechęcili się tu wskutek mordu w przyległej willi.

— Dziękuję pani, do jutra poczekam.

Odszedł, ukłoniwszy się uprzejmie wyniosłej damie, a po drodze pomrukiwał: „a to chytra baba“.

Następnego dnia przed południem obchodził Jocellyn wszystkich jubilerów po kolei i z każdym odbywał konferencyę poufną w cztery oczy. Wszędzie bawił krótko, aż u siódmego z rzędu zatrzymał się dłużej.

— Istotnie powierzono mi niezwykle opale do oprawy — rzekł jubiler. — Zobaczę zaraz do książki.

— Bardzo proszę; niech pan najdokładniej sobie przypomni. Powtarzam jeszcze, iż skradziono brylanty, rubiny, opale. Domyślamy się, że złodziej nie uszedł jeszcze z miasta, dlatego musimy się spieszyć.

— Jest, jest adres — rzekł jubiler, przejrza- wszy książkę. — Proszę przeczytać, co tu zano- towałem.

Jocellyn czytał następującą notatkę: „Trzy wielkie opale najprzedniejszej jakości. Przed ośmiu dniami przyniosła mi je do oprawy jakaś nie znana mi panna. Dziwiłem się bardzo skąd je wzięć mogła, takie rzadkie okazy, ale że była w towa- rzystwie osoby należącej do znakomitej, znanej powszechnie rodziny, więc nie mogłem nic złego podejrzewać.“

— Jak to pięknie, że pan sobie wszystko za- pisuje — rzekł Jocellyn.

— Ależ to konieczne ze względu na bezpie- czeństwo przed złodziejami i na powagę firmy.

— Na kiedy miała być gotową pańska ro- bota?

— Właśnie dziś mam oddać. Owa dama po- wiedziała, że po południu sama się po nią zgłosi.

— Czy podała swoje nazwisko?

— Tak, podyktowała je. Nelly Brown.

— Dziękuję uprzejmie. Po południu się zgło- sze.

Jakoż o trzeciej był już Jocellyn u jubilera i czekał w lokalu, przytykającym do skle- pu. Wkrótce zjawiła się panna Brown po odbiór opali. Jubiler dał umówiony znak Jocellynowi. Nelly Brown, wzięwszy kosztowności, wsiadła do powozu i odjechała. Jocellyn wskoczył do dorożki i kazał pędzić za powozem. Jakże się zdziwił, gdy zobaczył, że powóz zatrzymał się przed pensionatem pani Rogers i dama z opalami weszła tam, odpra- wiwszy powóz.

Pojechał nieco dalej, potem wysiadł z dorożki i pospieszył do pensionatu.

Zadzwoił i znowu owa strojna pani, sama właścicielka pensionatu drzwi mu otworzyła.

— Stosownie do pozwolenia pani przychodzę ponownie dowiedzieć się o mieszkanie.

— Niema miejsca — rzekła nieco opryskliwie — proszę szukać gdzieindziej — i zamknęła drzwi przedko.

Jocellyn zatrzymał się przez chwilę i uśmie- chnął sam do siebie: „Hm! hm! — myślał sobie — nibyś ty mądra, a przecież ciężko głupia. Skoro ty damulko tak opryskliwie zbywasz tych, co szu- kają pomieszkania, to twój pensionat jest tylko po- zorem, firmą, pod którą ukrywa się co innego. Stuart miał dobry nos. Ha! zdradziłaś się mością pani. Już cię z oka nie spuszczać.“

W sześć tygodni potem napisał do przyjaciela list następujący:

„Kto nie wie, co to znaczy tropić urwipolciów tak, aby ich na gorącym schwytać i dowody mieć o nich niezbitę, ten mógłby sądzić, że my czas na darmo tracimy. Trzeba mieć cierpliwość taką, jak ów Bradmardine, co kołkiem siedzi we Fairlie i czyha na przyjazd Leonory, a tymczasem pod- chodzi dr. Austina, aby coś z niego wyciągnąć. Do tej chwili nie udało mi się jeszcze wcisnąć do pensionu pani Rogers, ale wiem już pewnie, że tam jest jakieś gniazdo. Na ślepo nie pójdę, aby nie spłoszyć ptaszków przed czasem. Dama z opa- lami przebywa u pani Rogers i konferuje często z Fergussem.“

„Zawarłem z nim poufale stosunki. On dobrze podkuty, ostrożny, ogledny, tembardziej mi podej- rzany. Poznałem też pannę Scaton. Dowiedziałem się, że panna Durand była przez dwa miesiące w podróży. To szczegół dość ciekawy dla ciebie, który zajmujesz się tą rodziną i może ci to po- służyć do jakichś kombinacyj. Nawiasem dodaje, że Kate Scaton to bardzo miła, sympatyczna osó- ba.“